№ 30. 27. Lipca. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłają się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: »**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**

Jerzy Lubomirski

Dramat historyczny. K. Szajnochy.

(Dokończenie.)

Gdyby Sz. był chciał przedstawiać dramatyczną epopeję perjody Kazimierzowej, wtedy musiałby Lubomirski i jego prywatne stosunki zajmować podrzędne, przemijające miejsce. Gdyby zaś był tylko *dziejowe* stanowisko Lubomirskiego uczynił treścią dramatu, brakłoby temuż zaokrąglenia i jedności żywotnej, dla tego trafnie włożył to *w ramy* jak się sam wyraża *z prywatnych rodzinnych podań;* i trafnie uczynił założeniem dramatycznem dzieła okazanie, iż ten:

— Co wszystkie chciał w domu zagarnąć dostatki
Sam zmuszony wyjść z domu, zbędzie rodu, matki,
I jak błędny wygnaniec, jako zły wyrzutek,
W obce dalekie strony poniesie swój smutek,
I zginie zapomniany — — —

Ta prorocza przestroga ojca jeszcze wyraźniej wyrzeczona jest w słowach następujących:

— — — Z daleka od dworu.
Bo jeden złowrogi zbytek dworskiego faworu
— — — — — — — —
Może wszystkie me dary jednemu narzucić
Może w końcu na niego zemstę nieba zwrócić
I zrządzić że za karę krzywdy reszty braci
Przekleństwem obarczony wszystko znow utraci
I od domu, ojczyzny, od braci daleki
Zaginie — — — —

Aczkolwiek podobny prolog zawierający w postaci przepowiedni treść dramatu, mniej jest odpowiedni formie tegoż, i przypomina raczej w mowach umniczo ułożonych albo innych dziełach zwyczajne *założenie* (propositio): wystawia on wszelako dobitnie ognisko, w które się wszystkie promienie działania rozwiniętego w dramacie skupiać mają. Przez to jest nadana dramatowi artystyczna jedność; gdyż przepowiednia ojca wionie jak niewidoma siła przeznaczenia, przez całe życie Jerzego, a przestroga jego cięży na sumieniu, kieruje krokami syna i powoduje go do najświetniejszych poświęceń. Tą nicią duchową wiążą się wszystkie czyny Lubomirskiego, czy to na polu bitwy czy w życiu politycznem czy domowem w jedną indywidualną całość.

Co do układu pochwalamy zachowanie chronologicznego porządku i wysnuwania się scen jednej z drugiej. Jednak zarzucić musimy że niektóre sceny są takie, na których odrzuceniu całość dramatu nicby niestraciła. Tak zaraz pierwsze trzy sceny pierwszego aktu, w których się odkrywają zamiary królowy skłonienia szlachty do wybrania ks. Kondeusza jeszcze za życia króla; wciągnienia w kraj wojsk francuzkich na pozór dla pomocy przeciw szwedom a właściwie dla obalenia swobody szlacheckiej, a oraz obłudna polityka dworu francuzkiego.— Sceny te, dobre bardzo do obrazu wieku Kaźmierza, zbyteczne są w *Lubomirskim*, do którego jako dramatu indywidualnego dosyć jest na scenie 4 i 5 pierwszego aktu dla zawiązania działania.— Toż samo co tamtym trzem, zarzucilibyśmy kilku innym scenom jakoto drugiej w drugim akcie, scenie ósmej i dziewiątej. Są ony także mniej istotne, chociaż pod względem żywości i prawdziwej charakterystyki szlachty obozującej pod Krakowem, i Gustawa Adolfa, należą do najlepszych w dramacie.

Pominąwszy tych kilka scen bez których dramat zostałby cały, chociaż one nie są bez związku z tymże i bardzo dobrze wchodzą w cały plan, jest układ bardzo staranny i symetryczny. Tak dalece iż, *w samym prawie środku* (w 4 i 5tej scenie trzeciego aktu) zawiera się przesilenie działania Lubomirskiego i rozstrzygnienie jego stosunku do dworu i szlachty. Tu Lubomirski będący już *starostą* i *marszałkiem* otrzymuje jeszcze *buławę hetmańską.* Królowa chciała tem kupić zezwolenie jego na wybór *Kondeusza* i mówi otwarcie o tym zamiarze, również jak o wojnie z *bezrządem wewnętrznym,* (tak nazywa swobodę szlachecką). Gdy królowa nieczekając odpowiedzi odeszła, nadchodzi Tekla, (córka Lubomirskiego) której miłość z *Wiśniowieckim Michałem* jest lekko naznaczona tylko, i chce ojcu oświadczyć swoje uczucia; gdy jednak odkrywa iż królowa jej związek z Michałem uczyniła zależnym od przystąpienia ojca do zamiarów dworu — ten każe jej milczeć. W 5tej scenie następuje postanowienie Jerzego niepopierać dworu; królowa zaś, postanowia zgubić Lubomirskiego, i odtąd walka między obojgiem.

Wzniosłą jest ostatnia scena. Spokojne i dobrowolne porzucenie wszystkich zaszczytów, wszelkiego blasku i szczęścia światowego, spełnienie przepowiedni ojca nie przez surowy bieg losu ale surowością własnej woli, jest znamieniem wielkości — niemniej wzniosłe oraz jest poświęcenie się córki dziewicy młodej, kochającej i kochanej, jedynie dla ojca. —

Epilog nadaję dramatowi dopiero właściwą barwę *tragedji*, bo widzimy że poświęcenie się Jerzego nie było błahe że złomał się pod ciężarem samowolnie nałożonej pokuty, bo

— nie zdołał, za ziemią ojczystą tęsknoty —
Nie zdołał wygnańczego przezwyciężyć żalu.

Charaktery są wszystkie mniej więcej z prawdą psychologiczną zgodne, wszelako nie możemy stłumić uwagi że podrzędne charaktery są daleko trafniej i żywiej oddane niż główne. Najmniej zadowoleni jesteśmy samym Jerzym; nieumiemy sobie wytłumaczyć dlaczego czytając dramat nieznajdujemy Lubomirskiego wskróś tak wielkim nieposzlitym jakeśmy go sobie wyobrażali czytając przedmowę. To nam się wydaje zbyt krasomówczy, to znowu zbyt lakoniczny i bierny: jakoż działalność Lubomirskiego właściwa zaczyna się dopiero przy końcu drugiego aktu i odtąd wprawdzie nigdzie nie jest nieczynny, owszem każde jego wystąpienie jest stanowcze i roztrzygające, jednakże gdyby się godziło wymagać od autorów aby nas zaraz w początku dzieła z czynnością bohatera obznajamiali zarzucalibyśmy Szajnosze iż na owo stanowcze działanie Jerzego za długo czekać daje. Lecz przenosimy przygotowywanie głownego działania przez wprowadzenie poprzednich *czynów* na scenę, niż ową tak powszednią w pierwszych aktach (że się tak wyrażę): *prezentacją* osób dramatu w obojętnych dla reszty dramatu djalogach, opowiadaniach i t. p. błąd od którego nie jest wolnym ani Wiktor Hugo ani Gutzkow ani Korzeniowski. —

Nie możemy zresztą nic narzucić roli Jerzego; owszem jego stałość w poświęceniu się jedynie dobru ojczyzny i zachowaniu swobód szlacheckich jest *charakterem;* jego ustąpienie z pola po odniesieniu podwójnego zwycięztwa i dobrowolne wygnanie jest *wzniosłe;* w roztrzygnieniu walki między tronem a szlachtą jest nawet jakaś historyczna wielkość. Jeżeli niema nic w jego mowach i czynach coby świeciło jak pomnik, coby porywało, i rzucało drugie umysły w poniewolnem uwielbieniu jemu pod stopy. Jeżeli nawet w najwznioślejszej scenie gdy Lubomirski składa *»wszystkie dostojeństwa i urzędy ojczyste«* z obawy aby:

Wrogim z czasem ojczyznie nie stać się ciemięzcą

nasunęła nam się swawolna myśl że to niepotrzebna troska i próżna obawa, bo albo miał w sobie tyle prawości i siły by nie stać się tym *pomimo*

Własnych braci, zbyt wdzięcznych, kuszącego głosu

albo ci bracia którzy, jak słusznie mówi *Siciński* i w 4tej scenie pierwszego aktu wszyscy mają

»Po kęsie mej rogatej duszy w swym tułowie

niedopuściliby nigdy Lubomirskiemu stać się tym ciemięzcą, to pomimo tego, charakter jego nakazuje uszanowanie i udało się Szajnosze, co mało który umie, bez zpłaszczenia okazać chociaż tylko *odblask* tej starożytnej klasycznej wielkości, którą znamionuje wzniosły spokoj duszy niezachwianej zwykłemi niepokojami umysłów ludzkich, przystępnej wprawdzie i dla gwałtownych uczuć i dla namiętności, ale nieulegającej im nigdy, nieupadającej pod brzemieniem powszednich ludzkich cierpień lub pocisków zwyczajnego życia. Ciało jego uległo ale duch został silny do końca. W tem jest zakrój na charakter starożytno-klasyczny.

Charakter *Królowej* z wielką jest prawdą przedstawiony. Wszędzie jest ta sama kobieta intrygantka jeden cel na oku mająca: zaszczepić absolutyzm francuzki na polską ziemię przez przywiedzenie szlachty do wyboru Kondeusza następcą króla; środki jej wszystkie dobre ku temu. Wzaślepieniu swojem nie widzi jakiem niebezpieczeństwem grozi sympatja szlachty dla Szweda nie tylko tronowi ale samej nawet zasadzie absolutyzmu: gdyż tylko w myśli ratowania swych swobód idzie szlachta za Szwedem. Owszem cieszy się iż wojna szwedzka podaje jej sposobność sprowadzenia wojsk francuzkich w kraj, a nie widzi że ją w tej mierze dwór francuzki łudzi czczą obietnicą.

Nareszcie gdy Lubomirski podaje tronowi pomocną rękę przeciw Szwedowi nie widzi królowa że hetman staje w obronie *ojczyzny przeciw najazdowi,* nie zaś *absolutyzmu przeciw swobodom szlacheckim.* Gdy zaś widzi że się w swoich rachubach za Lubomirskiego zawiodła, zwraca wszelką potęgę złości przeciw niemu.

Charakter królowej jest prawdziwie dramatycznie przeprowadzony, ciągle czynna, w czynnościach swoich wynikła, jedną myślą się powodująca, wszystkich środków do wykonania tejże używa. Namiętnością miotana, nie czuła, więcej przebiegła niż roztropna, więcej zapalczywa w działaniu niż energiczna; jest na końcu zawsze *kobietą,* — niezdolna wznieść duszy nad gruzy swoich planów, łamie się moralnie pod ich ciężarem i tak mówi o sobie.

— we mnie krew już wszystka w tej burzy wybuchu
Upłynęła, i tylko łzy jeszcze gorące
Cieką i tylko tyle życia jeszcze we mnie
Aby ów głóg śmiertelny czuć w piersi rozdartej.

Trzeci bardzo ważny w dramacie charakter jest *Sicińskiego.* Główny wyobraziciel przeczącej potęgi, ześrodkowany i zpotęgowany duch całej szlachty — ale w szlachetnem prawdziwie artystycznem znaczeniu, bo Siciński pomimo wyuzdanych wyobrażeń nie jest brzydkim rozpasanym charakterem, owszem ma on zapęd do wielkości —

pomimo tego nie jest wielkim, lecz zawsze podrzędny, bo nie mądrość ale uczucie w nim góruje; nie chce znosić władzy a jednak nigdy sam nie włada — zawsze jest owładniony, ale przez tego którego obrał sercem, — nikt mu władzy *nienarzuci*.

Że to skreślenie nasze słuszne, tego dowodzą dwa ustępy szczególnie tj. gdy oznajmia Gustawowi iż póty mu naród wierności nie przysięże póki Gustaw nie będzie *wybranym* królem, gdy go *prosi* aby się *pozwolił* obrać królem (scena 9 aktu drugiego). Drugi zaś ustęp jest charakterystyczny dla *Sicińskiego* również jak dla *Lubomirskiego*, gdy tamten serca popędem porwany już przestaje być stałym swej zasadzie *wolnej elekcji*, ale ufny w uczciwość *Lubomirskiego* prosi go aby królewskie jarzmo skruszył do ostatka i *wstał protektorem nad złotym pól naszych oceanem*

— — *Jak przed lat dziesiątkiem*
Na wyspie oceańskiej on Oliwier Kromwell.

Na co następuje odpowiedź odmowna *Lubomirskiego*. *Siciński* zarzuca mu bardzo słusznie brak śmiałości do czynu, a Lubomirski wywodzi ten brak śmiałości również słusznie z charakteru narodu. Ten ustęp niepodnosi pod względem dramatycznym charakteru Jerzego, gdzie chodzi o dzielność i wielkość indywidualną, ale jest w historycznym względzie bardzo prawdziwy, (koniec 2. sceny w 4 akcie).

Nad resztą charakterów nie możemy się szczegółowo zastanawiać, nie mają one stanowczego wpływu na tok całej sprawy, nie są jednak zbyteczne. We wszystkich jest, jakeśmy rzekli wyżej, prawda psychologiczna i historyczna.

Tak poznali czytelnicy iż dramat Szajnochy jest co do treści i architektonicznego układu niepospolitym, gdyż usterki które jemu zarzucamy spotykają zarówno pierwszych poetów. Słabą stroną dramatu jest naszem zdaniem dykcja. Styl Szajnochy jest jędrny i zwięzły, wolny od wszelkich usterek powszednich w naszych i wogóle nowszych dramatach — nie jest napuszony, przesadny — zyskuje na tem że jest nierymowany, bo może przez to być swobodniejszy. Pomimo tego jest jakaś ocieżałość w tej wymowie, niema tam niezrozumiałości pochodzącej z zawiłego lub bardzo głębokiego myślenia; ale też niema blasku i tej ruchawości w wyrażeniu myśli i uczuć, świeżości w użyciu ubarwień która cechuje znakomite poetyczne utwory.

Szajnocha był w tym dramacie więcej historykiem niż poetą, więcej powtarzającym niż twórcą, więcej pracował pamięcią niż myślą. Z wielką zręcznością zastósował Szan. nawet dykcję do czasu w którym się rzecz dzieje, ale kto wie czy nie przez to stał się ociężalszym i wymuszonym styl jego. A jednak są ustępy w dramacie samym które zdradzają iż mógłby innym być. Scena 4 i 5 pierwszego aktu, szczególnie mowy *Sicińskiego*, są pisane piórem geniusza, żywe, pełne myśli, dowcipu, fantazji — słowem jestto próbka *prawdziwej poezji dramatycznej*, jakiejby się mistrze w poezji niepowstydzili. — Po tych najpierwsze miejsce zajmuje scena z Kobziarzem i z Karolem Gustawem.

Dla przykładu przytaczamy następne słowa:

Marszałek: Zkądże droga?
Siciński.
Prościuteńko z piekła?
Kiedym z sejmu powracał, spotkały mię w drodze
Baśń klechów, przestrach tchórzów, starych bab głupota,
I wszystkie społem w piekło zawlekły mię żywcem.
Lecz Lucyper ze strachu abym mu wolnego
Niepozwalam do carstwa nie wniósł podziemnego,
Kazał mię znów honeste po styksowej strudze
Nazad odwieść do Polski.
Marszałek — — — — Jeżli się nie łudzę
Jużem waszmości gdzieś widział. — —
Siciński — — — — — — Nie łudzisz się bracie
Gdzie spojrzysz, tam mnie widzisz. Bo waść wszyscy macie
Po kęsie mej rogatej duszy w swym tułowie
Bo ja siedzę w was wszystkich — jako mówią, siedzi
W każdym człeku kęs biesa. i t. d.

K. W.

Jaskółki.

(Powieść.)

Paryż . . . . . 1850.

Pozdrowienie.

Pozdrawiam was! choć z daleka, —
Choć mnie odbiegło wesele —
Choć snu nie zna ma powieka —
Pozdrawiam was przyjaciele!

Ach! tyle, gór nas przedziela!
Tyle wód! Niechętnych tyle...
Znajomy głos przyjaciela
Z echa o echo odbity —
Obcemi dźwięki pokryty —
Czyż przeciśnie się na chwilę?

Czy dojdzie aż do tej ziemi
Dla której serce w nas bije —
W której życie nasze żyje!
Czyli dziś słowy mojemi
Dawne współczucie obudzę?
Czy was moją bajką znudzę?
Czy ją za prawdę przyjmiecie?
Ja nie wiem —: Ale wy wiecie.

Otoż tak się stało:
Raz się gdzieś były Jaskółki zleciały;
A obejrzawszy czy szpiega gdzie nie ma?
Czyli można mówić śmiało
Tak mówią między czterma oczyma
Tak się biedne użalały:

„— Ach! jakaż to przyszła pora
Co to za czasy nastały!
Zimne wichry od północy
Wyją ciągle w dzień i wnocy;
Żadna z nas swego niepewna wieczora.
Tyleśmy sióstr postradały!
Tyle ich, i w tej godzinie
Gdzieś w odległej strefie ginie!
Inne na również srogie skazane męczarnie
Żywe jeszcze, po grobach przepadają marnie,
Co tu począć? co za rada?
Biada nam sierotom! biada! —„

A potem, jedna drugę cieszyły,
I znow płakały — i znow się smuciły.
Lecz gdy przyszło do rady, co począć w tym stanie?
Nie było zgody — co głowa to zdanie?

Jedne radziły: po kątach cicho
Przesiedzieć licho.
Drugie myślały przejść w krainę inną —
Odlecieć ziemię rodzinną.

Gdy jedna, która dotąd w milczeniu siedziała
Wte się słowa odezwała:

—„ O Siostry! wszystkie przez was środki tu podane
Zasługują na naganę.

Ojcowie nasi w też błędy wpadali;
O klęskach których doznali,
„Co na nas spadły — nie wspomnę:
Nazbyt one są srogie, i nazbyt przytomne.

„Lecz siostry! wamże przystało
Ohydnie, pojedyńczo, drzeć w klęsce ogólnej!
Czyż jeszcze nieszczęść za mało?
Mamyż się i jedności, zgody wyrzec wspólnej?

„Lub wyż to rzucić radzicie
Ziemię gdzieście wzięły życie?
O! spytajcie tych, co zdala
Burz srogich zaniosła fala;
Te tułacze nieszczęśliwe
Niech poświadczą skargi swemi
Co za sieroctwo dotkliwe,
Umierać na obcej ziemi!

„Dla nas cośmy do tej chwili
Na grobach ojców dożyli,
Jedno męstwo — jedna cnota —
Zgodnie dokonać żywota.

„Dzisiaj na polu ginąć nam nie pora.
Więc się zatopmy w otchłań jeziora;
W tym wspólnym grobie, wspólnemi siły
Będziemy żyły.

„Tam — jedna drugą będziem zagrzewały.
Tam — ścisłym spięte łańcuchem,
Jednym ożywione duchem,
Dnia odrodzenia będziemy czekały!

„Tam — albo wszystkie razem życie odzyskamy,
Albo jeśli ginąć mamy,
Tej się przynajmniej doczekamy chwały:
Żeśmy żyć razem — razem poginąć umiały! —"

I cóż na to Jaskółki? . . Zgodziły się przecie?.
Ja nie wiem — Ale wy wiecie.

Kto lepiej wypije.

Z Nie-bajek

przez Autora Listopada.

Pani generałowa Mokronowska dnia czwartego tak się odezwała: Nie powiem Państwu że widziałam, co opowiadać będę, ale temu wierzę, jakbym sama na to patrzała. Bo to słyszałam od bardzo poczciwego człowieka, pana Komarzewskiego, wielu wam kiedyś znajomego, a który był domownikiem u xiężnej Sanguszkowej marszałkowej wielkiej litewskiej, Duninównej z domu, mojej rodzonej babki, przy której się wychowałam, a nawet ona mnie wydała za Mokronowskiego, i choćby nic innego dla mnie nie zrobiła, to jedno już jest dostateczne, żebym dla niej zawsze wdzięczność zachowała.

Wiadomo państwu, że od Augustów pijaństwo tak dalece weszło było w obyczaj naszego narodu, iż przyszło do tego, że wszystkie interesa tak prywatne, jako publiczne odbywały się przy kielichu. Kto mógł pić dużo, bez stracenia przytomności, ten miał wiele przyjaciół, i był pewny znaczenia i losu. Jeżeli o kim mówiono: niema takiego, który by mógł jemu dotrzymać placu z kielichem, to była największa pochwała, jaką można było go wsławić przed publicznością. Byli też ludzie, którzy wyrobili w sobie taką zdolność do pijaństwa, że onaby gdzieindziej za bajeczną uchodzić mogła.

Między temi kielichowemi, bez wątpienia Komarzewski był najpotężniejszy. Nie było pijaka, któregoby nie przepił. ze wszystkich stron Polski zjeżdżano się żeby się z nim probować, wielu się znalazło takich co życiem przepłacili puszczenie się z nim w zawod, ale to pewna, że nikt jemu niedał rady; zaufany w siłę swojej głowy, dokazywał też rzeczy, którymby wierzyć niepodobna, żeby nietyle naocznych świadków na to patrzało. U xięcia Stanisława Poniatowskiego, w przeciągu godziny, czterdzieście ośm butelek wina Szampańskiego wypróżnił. U Xięcia Lubomirskiego, podstolego koronnego, od południa do północy wypił na siebie sto butelek wina węgierskiego, a potem jeszcze zjadł garniec lagru. O wielu podobnych jego cudach pijackich mówiono. To też najwięksi panowie wstawali przed nim jak tylko się pokazał, dobijali się o jego przyjaźń, dawali mu hojne upominki, i nie bez słuszności bo byle się pojawił na jakim sejmiku, zaraz go opanował. Kogo podyktuje, tego szlachta i wybierze, tak ją był zawojował kielichem. Zgoła on był potencją, i to aż nadto umiał poznawać.

Przecie nie można było go nazwać pijakiem, bo nikt go nie widział pijanym. Lord Litelpecz, zawołany amator trunków, a mogący go znieść bez miary, poszedł z nim raz w zakład że go przepije czystym arakiem, a to tym sposobem, że Komarzewski dał mu jedną butelkę araku for, to jest wypił ją duchem, a potem z nim stanął do zawodu, pijąc z nim arak kolejnym kielichem Bóg wie ile oni araku wypili, ale to pewna, że Komarzewski wyszedł od niego, i jeszcze gdzieś skończył wieczór, a Litelpecza zostawił bez przytomności, i Lord by umarł, żeby Bergonzoni, wezwany od ludzi jego, nie był mu otworzył żyły na skroni. Ale takie na nim wrażenie zrobił, że Lord mu w hołdzie dał kielich szczerozłoty, który umyślnie kazał odlać w Londynie, a który zajmował garniec. Sama widziałam ten kielich, bo on był u mojej babki złożony.

Mówiłam że on był u niej domownikiem. Jednego razu u nas Branicki, hetman wielki koronny, a który lubił pić, i miał mocną głowę, a często pijał z Komarzewskim, mówi mu: mój Komarzesiu, przyznaj się że masz jakiś sekret, iż żaden trunek nie idzie tobie do głowy, bo to nie naturalna rzecz żebyś ty ludzką tylko siłą mógł tyle pić bez upicia się. — A tak jest, a nie inaczej, panie hetmanie, odpowiedział Komarzewski, odkąd siebie zapamiętam, ciągle piję, a nigdy się nie upiłem; chciałbym się upić, żeby doświadczyć co to jest, a nie mogę. Wino, miód, gorzałka, arak, wszystko u mnie idzie w dół, za pozwoleniem jaśnie oświeconej pani marszałkowej, a nigdy w górę. To napróżno, żaden człowiek mnie nie upoi, chciałbym pić z djabłem, azaliż od niego się nie dowiem, co to jest być pijanym. — I odważyłbyś się pić z djabłem, przedłużał hetman. — Za co nie, byle wino było smaczne, a nie śmierdziało siarką, jak ten cieńkuszek reński, co go nim częstował siostrzan pana hetmana, xiąże wojewodzic Smoleński. W tem zaczęło grzmieć, moja babka strasznie się bała grzmotów, a co ją najwięcej przeraziło, że grzmot był nie w zwyczajnej porze; bo to było pod koniec wielkiego postu. Ofuknęła więc Komarzewskiego. — Głupstwa gadasz, wspominasz złego ducha, i pioruny naprowadzasz bluźnierstwem na mój dóm, idźże sobie na ulicę ze swojemi konceptami.

A to wyrzekłszy, porwała mnie za rękę, i uciekłyśmy do kaplicy przestraszone. A hetman, Komarzewski i inni goście się rozeszli.

Nastąpił wielki tydzień. W wielki piątek, o samej północy, kruki marszałkowskie, idąc przez ulicę Freta, usłyszeli jęki, a noc była nadzwyczajnie ciemna. Na głos tych jęków, zbliżyli się do rynsztoku i w nim znaleźli człowieka leżącego, ale bez żadnej przytomności. Zanieśli go, jako zwyczajnie gminnego pijaka, do wydziału dobrego porządku, i położyli go na stole, wezwawszy naczelnika tego wydziału. Jakież było jego zadziwienie, kiedy poznał Komarzewskiego, obszarpanego, obłoconego, odrapanego, a tak pijanego, że ani ręką ani nogą nie ruszał. Naczelnik wydziału znał go dobrze, bo nawet, za jego wstawieniem się do xięcia marszałka Lubomirskiego, otrzymał swoją posadę. A więc kazał go zanieść na noszach do pałacu Radziwiłowskiego, na Krakowskiem przedmieściu, gdzie miał swoją kwaterę, sam swojego dobrodzieja do niej zaprowadził, i oddał go ludziom, którzy go nieprzytomnego rozebrali i położyli w łóżko.

Nazajutrz gruchnęła po całem mieście wieść, że Komarzewskiego w nocy znaleziono pijanego w rynsztoku, i to w sam wielki piątek. Najpierwsi panowie, najznakomitsi pijacy, zbiegli się do niego, żeby widzieć osobliwszą rzecz, Komarzewskiego pijanego, i żeby się dowiedzieć od niego, komu się udało tak go spoić, że aż się położył w rynsztoku jak łajdak uliczny.

Wszyscy do niego biegli ze śmiechem na ustach, ale kto go obaczył, śmiać się przestał, bo on ciągle leżał bez przytomności, i co tylko robiono żeby go otrzeźwić, było nadaremno, a doktor w nim innego symptomantu nie widział, tylko że był pjany, i że się nie może wytrzeźwić. W takim stanie pozostawał przez całkowite Święta Wielkanocne. Bergonzoni od rozumu odchodził, nie pojmując co to znaczy, aż dopiero w Środę rano Komarzewski odzyskał trochę przytomności, i pierwsze słowa, co je wyrzekł do swojego szatnego, wiernego sługi który z nim razem się zestarzał i ani chwili go nie odstąpił, były: Guminsiu, na miłość Boga, przynieś mnie wody. Gumiński pobiegł co tchu i przyniosł w dzbanku wody.

Jak Komarzewski tę wodę obaczył, a była od Św. Krzyża, na nią się rzucił, i wypił co tylko było w dzbanku. Może od trzydziestu lat pierwszy raz wody się napił. Natychmiast po-

rwały go ejekcje z nadzwyczajnemi torsjami. Na to przyszedł Bergonzoni, i potem opowiadał mojej babce, że nigdy nie widział ani słyszał o podobnych ejekcjach, bo tam było coś podobnego do krwi zapiekanej, do dziegciu, do żużlów w nadzwyczajnej ilości, a z tego wychodził jakiś zabijający swąd, że nie można było wytrzymać w izbie. Koniec końcem Komarzewski przeleżał siedm dni w rękach Bergonzoniego, który go trzymał w ostrej hygienie, a ósmego, będąc zupełnie zdrowym, wyszedł i zaczął znowu swoich znajomych i przyjaciół nawiedzać. Przez kilka niedziel wymawiał się od pijackiej biesiady, ale potem stopniami zaczął sobie pobłażać, i powrócił do dawnego trybu życia.

Wszyscy byli ciekawi dowiedzieć się; kto jego spoił i czem, że aż cztery doby leżał pijany, ale nie można było go wyciągnąć za język.—Dajcie pokój, mówił, kto mnie upoił, to upoił, widać że musiał być gracz, kiedy mu nie dotrzymałem placu. A łotr pił tyle co ja. Nikomu z was nie życzę z nim pić, ani nawet się spotkać.—A każdy na to: kiedy Boga kochasz, Komarzesiu, powiedz nam kto to taki? Nie wstydź się, a niech my się dowiemy o nazwisku twojego zwycięzcy.—At zachciało się, za nic tego całkowitego wydarzenia nie wyjawię, bo gdybym wam go opowiedział, jedno z dwójga by nastąpiło, albo byście mnie wzięli za łgarza, którym nigdy nie byłem, albo byście opiniowali żeby mnie oddano do Bonifratów. A jeżeliście łaskawi, zaniechajcie o to mnie turbować, bo to jest dla mnie za nadto smutne przypomnienie, a zresztą róbcie co chcecie, a niczego się nie dowiecie.

Moja babka niemniej od drugich miała pobudzoną ciekawość, ale go nigdy o to nie pytała. Aż razu jednego, na jej imieniny, na wieczor do niej się zjechało mnóstwo krewnych i przyjaciół, a między nimi naturalnie i Komarzewski. U mojej babki nigdy niebyło pijatyk, bo ona się tem brzydziła, ale na swoich imieninach, stosując się do narodowego zwyczaju, wina nie żałowała, a pod koniec wieczoru kazała przynieść tuzin butelek starego Tokaju, który w spadku wzięła była po ojcu swoim łowczym Duninie, a któremu Komarzewski dał był nazwisko *nec plus ultra*, i podać tego wina butelkę z kielichem, właśnie butelkę takową zajmującym. Komarzewski, uradowany, napełnił kielich i mówi: oto właśnie wino odpowiednie zdrowiu które wypiję, wino *nec plus ultra* niech święci rocznicę *nec plus ultra* pani, naszej jaśnie oświeconej solenizantki—A na to moja babka: stój panie Komarzewski, ja się cieszę i wdzięczna jestem, kiedy przyjaciele moje zdrowie piją, ale ja wpana już nie mam za przyjaciela.—Ach xiężno, jakże można mnie to powiedzieć? Nie godzi się mnie, tak dawnego sługi jej domu, takim gorzkim wyrzutem krzywdzić. W czem że jej przewiniłem?—Żebyś był moim przyjacielem, tobyś mnie opowiedział przypadek coś go doświadczył w wielki piątek, ale widać żeś mnie sądził być niegodną swojej ufności. Jeżeli mnie tego zaraz nie opowiesz, kwita z przyjaźni.—Xiężna każesz, a więc sługa musi, i choćbym miał uchodzić za szalonego, powiem wszystko co się ze mną stało w tym dniu utrapionym, w którym poznałem się z diabłami, i siedziałem za ich stołem. Wszak xiężna pamiętasz, że w jej szanownym domu pan hetman Branicki bada mnie, dając do poznania, że myśli iż mam jakiegoś inkluza, który nie dopuszcza mnie się upić, choćbym niewiedzieć wiele wina, czy jeszcze mocniejszego trunku, wypił. Ja, który wiem że hetman nie wierzy w nic tylko w swoje szczęście, niby to co mi powiedział wziąłem na serjo, chociaż w duchu się śmiałem. I wyrwałem się z tém, że chyba djabeł mnie upoi. A na to pan Hetman, i tybyś się odważył pić z djabłem? a mnie licho nadało odpowiedzić hetmanowi żartem za żart: a dlaczego nie; byle wino było smaczne. W tem grzmieć zaczęło, a xiężna pani mnie wystrofowała i wyszła z xiężniczką; na gorącym razie na te grzmoty nie wiele uważałem, ale potem aż nadto je sobie przypomniałem.

(Dokończenie nastąpi.)

Kilka kartek z pamiętników umartego.

(Dokończenie.)

III.

Moje położenie i usposobienie nie odmieniło się w niczem. Czekałem codziennie wyroku mego losu, a czekałem go z cyniczną obojętnością. Z Rosjaninem rzadko się widywałem, i coraz rzadziej mówiliśmy z sobą o dziewczynie, która gdzieś od tego wypadku zniknęła. Częściej za to odwidzałem w więzieniu mego dobrego znajomego Konst.... który tymczasem do fortecy przybył. Wspólność naszego losu słodziła nasze cierpienia, i z chęcią przestronniejsze moje więzienie zmieniłbym na jego ciasne i ciemne.

W kilka tygodni później poznałem w kawiarni młodego Włocha, który dowiedziawszy się kto jestem, ofiarował mi szczerą swoją przyjaźń. Lubiał on niezmiernie grę w szachy, i musiałem często być jego przeciwnikiem. W kilka dni naszej znajomości dowiedziałem się, że jest synem pewnej wysoko urodzonej Włoszki, której kuzyn, hrabia *** zajmując w swoim kraju jednę z pierwszych posad rządowych, przez zbieg okoliczności i wypadków w ostatnich czasach o zbrodnie państwa oskarzony, oczekiwał jako więzień wyroku swojej kary, w fortecy. *Eccellenza****matka mego nowego przyjaciela była wdową w wieku podeszłym, a oprócz swego syna miała przy sobie kuzynę, której opiekunem był uwięziony hrabia. Familijne i przyjazne stosunki z hrabią spowodowały je do wzięcia udziału w jego losie, i do osłodzenia mu onegoż.

Kilka razy zapraszał mnie Włoch na partję do siebie. Jednego dnia uczyniłem z tego użytek, odwiedziłem go.

Służący w bogatej liberji, otworzył mi drzwi.

Po przywitaniu zapaliliśmy cygara i gadaliśmy o rzeczach obojętnych. Wkrótce nadszedł służący i dał nam znać, że *Eccellenza* prosi na herbatę.

Młody mój znajomy przedstawił mnie swojej matce, która mnie przyjęła serdecznie jakby dawnego jakiego znajomego, a gdy mnie to nieco zdziwiło, — rzekła głosem pełnym słodyczy: —

— Przebacz pan, jeżli ubliżam formułkom swiata, że od razu przyjmuję pana jako przyjaciela domu, bo my, osobliwie kobiety, ulegamy często potędze naszej wyobraźni; a w co się wmyślimy lub co często słyszymy, zdaje nam się, żeśmy to na własne oczy widzieli. Mój syn tyle razy wspominał nam o panu, tyle nam naopowiadał szczegółów z jego towarzystwa, że byłam w przekonaniu znać pana oddawna.

— Szczęśliwym się sądzę, — odrzekłem, że pani nieznajoma raczyłaś myśleć o nieznanym ci wygnańcu, którego pamięć u tych, którzy go znali, może na zawsze przepadła!

— Los pana nieupoważnia cię bynajmniej, zadać łez wszelkim prawdom reljgji i społeczności. Prąd czasu toczy swojem korytem i kamienie, ale na to tylko, aby niemi rozbić silniejsze i niebezpieczniejsze zapory!

— Jestem zwyciężony,—zawołałem, lecz ukorzenie moje jest mi tym milsze, że mnie sprowadza z drogi zwątpienia, na drogę męztwa i cnoty. Kilka chwil towarzystwa pani urwało w duszy mojej strunę jeremjaszową.

— Jeżli panu miłe jest towarzystwo nieszczęśliwych, to chciej pan nas częściej odwidzać, zdaje mi się, że na materją rozmowy zgodzimy się zawsze.

— Pani jesteś zbyt łaskawą....

— Niebądź tak zbyt grzeczny, nieszczęście zbliża nas do siebie. Przed kilkoma dniami byłam w pewnem kole dyplomatycznem zapytaną, do której partji wedle moich zasad, należę. Należę, odpowiedziałam, do jednej, wielkiej partji, do partji nieszczęśliwych!— I właśnie przyszedłeś pan w wiliję ostatniego aktu naszej wielkiej tragedji.

Jutro — rano usłyszy — hrabia*** mój brat — wyrok kary swojej! —

Szanowna dama otarła łzy z oczu. Nie przerywałem świętego jej bolu żadnem zapytaniem, żadną pociechą, bo chwila takiego uczucia zdawała mi za swiętą, aby ją profanować rozmową.

— Chcesz pan być świadkiem tego smutnego obrzędu— przerwała milczenie — to oczekujemy pana jutro, rano ze świtem.

Przyobiecałem. — Rozmowa dalsza, długa, smutna, jak step bez chmurki i bez zdroju, toczyła się póżno w wieczór, a przyszedłszy do mego pomieszkania, i długo w noc myślałem nad nieszczęściem owej rodziny.

Nazajutrz, skoro świt wybiegłem na ulicę. Machinalnie ubrałem się czarno, bo zdawało mi się, że mnie proszono na jakiś obrzęd pogrzebowy. I w istocie, człowiek pozbawiony wolności, i swojej woli, któremu społeczność odbiera cechę człowieczą, dla którego życie jest największą karą, liczy się słusznie do umarłych.

Ranek był smutny, przykry. Gruba wilgotna mgła zaległa mury fortecy, słońce jeszcze niezeszło. Na ulicy było próżno i głucho, bramy zamknięte, mosty zwiedzone.

Udałem się do pomieszkania hrabiny ***.—

Zdaleka już spostrzegłem przed jej domem jakiś ruch nadzwyczajny. Służący biegali w nieładzie tu i owdzie, ekwipaż hrabiny był w ciągłym ruchu, zwoził i odwoził różnych nieznajomych ludzi, a to wszystko z takim pospiechem jakoby i chwili czasu do stracenia nie było. Zadziwiło mnie to spostrzeżenie, a domyślając się że to wszystko stoi w styczności z dzisiejszym wyrokiem, przyspieszyłem kroku, z obawy abym za póżno nie przyszedł.

Wszedłszy do przedpokoju, niezastałem nikogo — świc tylko kilka paliło się na stole, a światło ich w zakątkach tylko walczyło jeszcze ze wzmagającym się dniem. Widać że je zapomniano zgasić. Z dziwnem przeczuciem wszedłem do pobocznego salonu. *Excellenza* *** — ubrana w czarnej sukni, stała śród kilku mężczyzn, których ułożenie i fizjonomja dały mi się domyślić, że to byli lekarze. Kilka słów, które z ich rozmowy zasłyszałem, potwierdziły moje domniemywanie. Przeczuwałem jakiś wypadek... zbliżyłem się do hrabiny. —

— Wdzięczną jestem panu, — rzekła do mnie hrabina, za udział, jaki pan bierzesz w nieszczęściu naszem.

Co dzień, co godzina, potęguje się nasze nieszczęście — dzisiaj jestem nieszczęśliwszą niż wczoraj — a za godzinę czeka mnie nowy cios!

— Nie przypuszczam odpowiedziałem, aby dusza tak męzka przyjęła słowa pocieszenia od tego, którego zwątpienie niedawno zwyciężyła! Nie chęć pocieszenia, ale chęć szczera dzielenia tego smutku nowego każe mnie się pytać o jego powód. —

— Jest to rana niezagojona — wyrzekła mężna Włoszka — aby ją znieść, trzeba coś więcej kochać jako ideał życia, niż to, co jest ziemskie. Nie znałeś pan jej, mojej kuzyny Oktawji ***, był to anioł dobroci — uleciała dzisiaj z pośród nas, jak nadzieja z duszy rozpaczających! Hrabia był jej opiekunem, wdzięczne jej serce nie zniosło ciosu, który trafił jej dobrodzieja. Poświęcała się dla niego różnym sposobem, aby mu osłodzić cierpkie chwile więzienia. Od kilku dni była cierpiącą, wczoraj wiadomość wyroku zadała jej cios śmiertelny. Słabe jej nerwy niewytrzymały tak silnego attaku. O godzinie pierwszej z północy przestała cierpieć razem z nami! Oby była jeniuszem naszej niedoli!

Hrabina otarła łzy z oczu — ja stałem nieporuszony. Jakieś dziwne uczucie owładnęło mnie. Lekarze rozmawiali o ostatnich chwilach konającej i zgodzili się w zdaniu, że przyczyną tak niespodzianej śmierci, była długa, cicha melancholja i ztąd pochodzący anewryzm...

Służący zapowiedział, że powóz czeka.

Hrabina zaprosiła mnie do swego towarzystwa i jednego z lekarzy.

Wyjechaliśmy z fortecy, za drugą linje fortyfikacyjną.

Na przestrzeni, przed frontem *„galerie morte"* z formowali minery czworobok. Po chwili przyjechał hrabia, i stanął w pośrodku. Nastąpiła ceremonja odebrania orderów. Wyrok brzmiał na lat dziesięć więzienia w fortecy.

Cały ten akt, rzecz dziwna, niesprawił na mnie oczekiwanego wrażenia. Hrabina, było widać, przymuszała się do męztwa i obojętności. Ja zaś ulegałem jakiemuś dziwnemu uczuciu, scena wydawała mi się za mało drastyczna — oczekiwałem jeszcze czegoś, co nastąpić miało, a czego bynajmniej odgadnąć nie mogłem.

Milczenie panowało między nami — wróciliśmy do pomieszkania hrabiny —

— Stało się, — rzekła hrabina wysiadając z powozu, spełniwszy jeden czyn miłosierdzia, spełnijmy i drugi. Nawiedźmy umarłą i pomodlimy się za nią.

W pokoju tymczasem ustawiono katafalk i zapalono świece.

Wszedłszy ujrzałem leżącą postać w przecudnej bieli, od twarzy aż po ręce nakrytą białym atłasem.

Hrabina, skończywszy modlitwę, wstała, skinęła w milczeniu na mnie i odkryła z twarzy nieboszczki atłasową osłonę.

Spojrzałem — kapelusz wypadł mi z ręki. —

— Qu' avez-vous Monsieur? — zapytała się zdziwiona hrabina.

— Nic, nic — odrzekłem szybko, jakieś ciemne, dalekie przypomnienie — podobieństwo . . .

— Pewnie do jakiejś, panu drogiej, a dzisiaj nieszczęśliwej osoby — dodała hrabina zpuszczając zasłonę.

— Bynajmniej — do pewnej dziewczyny którą widziałem sprzedającą wiśnie...

— Odgaduję — rzekła hrabina — to pan byłeś z Rosjaninem.

— Tak jest —

— Ostatnie jej słowa były — rozporządzenie jałmużną którą od was otrzymała. Święcie wykonam jej wolę. Rola owocarki była jednem z licznych poświęceń dla swego opiekuna. Aby go dłużej, lubo zdaleka, widywać, gdy się przechadzał po dziedzińcu swego wiezienia, i aby niezwrócić uwagi straży, obrała sobie ten sposób niewinny. — Luba, szlachetna Oktawja! —

Uczułem potrzebę samotnej przechadzki—pożegnałem się.

Wyszedłem za fortecę. Przy stosach kul, w zwykłem zatrudnieniu zastałem Rosjanina.

— Poruczniku, rzekłem, — możesz iść bezpiecznie na wyprawę — prognostyk stoczenia się kul, tyczył się tylko dziewczynki, o której marzyłeś. — Opowiedziałem mu zdarzenie całe.

— Właśnie dla tego,—odrzekł zimno artelerzysta, pójdę teraz na wyprawę. —

W oku jego błysnęła łza.

Szkoda, była to szlachetna dusza!

I. C. Z.

Oświadczenie.

P. Dr. Szlachtowski wydał list otwarty do redaktora Tygodnika, jako odpowiedź na artykuł p. Szajnochy w tymże Tygodniku ogłoszony. W texcie a zwłaszcza w uwadze do tego listu dotyka p. Szl: osobę redaktora Tygodnika, zwykłym trybem tych którzy z polemiki robią kłótnię prywatną, osobistą — *na to odpowiadać byłoby nieuszanowaniem dla Czytelników, a oraz poniżeniem własnej godności.* Zresztą pozostawiłem p. *Szajnosze*, który był łaskaw nieodmówić swojego pióra w polemice, nie przeciw (nieobchodzącej nas cale) osobie p. Szl. ale przeciw zarządowi instytutu Oss. prowadzonej, jako lepiej obznajomionemu ze stosunkami tegoż, odpowiedź na zarzuty jemu czynione, która jest załączoną do dzisiejszego Nru Tygodnika.

Redaktor Tygodniku lwowskiego.

P. K. Ł. obywatelowi z Bełzkiego. Redakcja otrzymała już kilka podobnych zachęceń i wezwań aby odpowiedzieć p. W. O. na jego brudny artykuł w N. 14. dodatku literackiego do Czasu i dziękuje niniejszym również p. K. Ł. jak innym szan. korrespondentom za tak pochlebny współudział. Mamy jednak zasadę niestawania publicznie we własnej obronie do walki przeciw pojedyńczym osobom, tylko w imieniu sprawy ogólnej przeciw nieprzyjaciołom lub szkodliwym *tejże* osobom. Artykuł zaś p. W. O. niewchodząc w to czy osobisty jego charakter jest taki, jakim go p. K. Ł. przedstawia, niezasługiwał na uwagę a tém mniej na odpowiedź; ponieważ za nadto nisko stoi pod względem wartości literackiej aby go krytykować — i za nadto nizko pod względem moralnym aby się nim obrażać — niezhańbił on nikogo prócz autora samego i pisma w którém był umieszczony. —

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej **E. Winiarza we Lwowie** przy ulicy krakowskiej pod l. 77.